

DEAN KOONTZ



Tajny eksperyment
prowadzi do serii
okrutnych morderstw

OPIEKUNOWIE

ALBATROS

Tytuł oryginału:
WATCHERS

Copyright © The Koontz Living Trust 1987
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2023

Polish translation copyright © Anna Dobrzańska 2012

Redakcja: Anna Magierska

Projekt graficzny okładki: Agnieszka Drabek

Ilustracje na okładce: denisik11/Shutterstock (*drzwi*);

mapichai/Shutterstock (*wnętrze laboratorium*);

Nadiia_Semyroz/Shutterstock (*próbówka*);

Andrey_Kuzmin/Shutterstock (*ślady pazurów*); iamtum/Shutterstock (*ciecz*)

Wydawca

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.

Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa

wydawnictwoalbatros.com

Facebook.com/WydawnictwoAlbatros | Instagram.com/wydawnictwoalbatros



ALBATROS

ROZDZIAŁ I

1

O SIEMNASTEGO MAJA, W DZIEŃ SWOICH trzydziestych szóstych urodzin, Travis Cornell wstał o piątej rano. Założył parę solidnych pionierek, dzinsy i bawełnianą koszulę w niebieską kratę. Usiadł za kierownicą pick-upa i ruszył na południe od swego domu w Santa Barbara, w kierunku malowniczego Santiago Canyon położonego na wschodnim krańcu okręgu Orange, na południe od Los Angeles. Wziął ze sobą jedynie paczkę ciastek Oreo, dużą manierkę napoju Kool-Aid o smaku pomarańczowym i naładowany rewolwer Smith & Wesson, kaliber trzydzieści osiem, Chief's Special.

W czasie dwuipółgodzinnej jazdy ani na chwilę nie włączył radia. Nie nucił pod nosem, nie gwizdał ani nie śpiewał, jak mieli w zwyczaju ludzie podróżujący samotnie. Przez część podróży miał po prawej stronie Ocean Spokojny. Jego złowieszcze, ciemne wody rozlewały się aż po horyzont, przywodząc na myśl twardy, zimny łupek. Tylko gdzieniegdzie przy brzegu wczesne światło poranka rzucało na nie słoneczne refleksy koloru starego złota i płatków róży. Travis ani razu nie spojrzął z zachwytem na płonącą od słonecznych cekinów tafłę wody.

Był szczupłym, muskularnym mężczyzną o głęboko osadzonych oczach, równie ciemnobrązowych jak jego włosy. Miał pociągłą twarz, patrycjuszowski nos, wystające kości policzkowe i nieco spiczastą brodę. Ta ascetyczna twarz

pasowałyby do mnicha, który wciąż wierzył w samobiczowanie i oczyszczanie duszy poprzez cierpienie. Bóg jeden wie, że Travis Cornell wiele wycierpiał. A jednak twarz ta mogła uchodzić za przyjemną, ciepłą i szczerą. Niegdyś jego uśmiech oczarowywał kobiety, choć wydawać by się mogło, że czasy te bezpowrotnie minęły. Travis Cornell dawno się nie uśmiechał.

Ciastka Oreo, manierka i rewolwer spoczywały w małym zielonym, nylonowym plecaku z czarnymi nylonowymi paskami, który leżał obok na siedzeniu pasażera. Od czasu do czasu Travis zerkał na zawiniątko, jak gdyby widział ukrytą pod materiałem naładowaną broń.

Z Santiago Canyon Road w okręgu Orange zjechał na znacznie węższą drogę, by ostatecznie wjechać na pozbioną koleinami, marną gruntową dróżkę. Kilka minut po wpół do dziewiątej zaparkował czerwonego pick-upa w zatoczce pod szczeciniastymi gałęziami olbrzymiego świerku.

Zarzucił na ramiona niewielki plecak i ruszył ku podnóżu gór Santa Ana. Już jako chłopiec poznał tu każde zbocze, dolinę, wąski wąwóz i grzbiec. Jego ojciec był właścicielem kamiennej chatki w górnych partiach Holy Jim Canyon, być może najbardziej odległego ze wszystkich zamieszkanycy kanionów, i Travis tygodniami odkrywał otaczającą go dziką przyrodę.

Uwielbiał te nieposkromione kaniony. Kiedy był chłopcem, po lasach wałęsały się niedźwiedzie czarne, których teraz próżno było szukać. Wciąż widywał stada mulaków, jednak one także nie były tak duże jak dwadzieścia lat temu. Przynajmniej rozległe połacie ziemi porośnięte bogactwem krzewów i drzew pozostały niezmiennie; nawet teraz w wielu miejscach droga ciągnęła się pod gęstymi baldachimami wiecznie zielonych kalifornijskich dębów i platanów.

Od czasu do czasu mijał samotną chatę albo niewielkie skupisko domów. Część mieszkańców kanionów stanowili

zgorzkniali pesymiści, którzy szukali schronienia przed nieuchronnie nadciągającym końcem cywilizacji, a mimo wszystko nie mieli serca, by zamieszkać w jeszcze bardziej nieprzystępnym miejscu. W większości byli to jednak zwykli ludzie znudzeni zgiełkiem współczesnego życia, osiedlający się tu mimo braku bieżącej wody i elektryczności.

Chociaż kaniony wydawały się tak odległe, nie było wątpliwości, że już niebawem zostaną osaczone przez napierające zewsząd przedmieścia. W promieniu stu pięćdziesięciu kilometrów, w sąsiadujących ze sobą okręgach Orange i Los Angeles, mieszkało niemal dziesięć milionów ludzi, a ich liczba wciąż rosła.

Teraz jednak na dziki krajobraz niczym deszcz spływało z nieba krystalicznie czyste światło, sprawiając, że zdawał się dziewiczy. Travis usiadł na pozbawionym drzew, skalistym grzbiecie porośniętym wyschniętą, brązową trawą, która wyrosła w czasie krótkiej pory deszczowej, i zdjął plecak. Piętnaście metrów dalej na płaskim kamieniu wygrzewał się długi na półtora metra grzechotnik. Wąż podniósł trójkątną głowę i z niepokojem przyglądał się intruzowi. Jako chłopiec Travis zabił na tych wzgórzach dziesiątki grzechotników. Chwilę później wyciągnął broń z plecaka, dźwignął się ze skały i zrobił kilka kroków w kierunku węża. Gad płynnym ruchem podniósł się z ziemi i utkwił w nim spojrzenie swych przenikliwych oczu. Travis postąpił krok do przodu, zaraz potem kolejny, niczym wytrawny strzelec oburącz ściskając broń. Wąż poruszył się leniwie. Niebawem dotrze do niego, że atak z takiej odległości skazany jest na niepowodzenie, i zdecyduje się na odwrót.

Choć Travis wiedział, że pocisk bezbłędnie trafi do celu, ze zdziwieniem odkrył, że nie jest w stanie pociągnąć za spust. Przyjechał tu nie tylko po to, by przypomnieć sobie czasy, kiedy cieszył się życiem, ale i po to, by zabijać węża. Ostatnimi czasy czuł się napięty niczym cięciwa kuszki; na przemian przygnębiony i rozjuszony samotnością

i bezsensownością swego życia. Musiał się dopuścić aktu przemocy, by uwolnić się od ciągłego napięcia, a zabicie kilku węży, których nikt nie będzie żałował, zdawało się idealną receptą na jego cierpienie. Tymczasem widok węża uświadomił mu, że życie gada było mniej bezsensowne niż jego własne; on przynajmniej wypełniał ekologiczną niszę i czerpał z życia więcej radości niż Travis w ciągu ostatnich kilku lat. Na myśl o tym zadrżał i przestał mierzyć w węża, nie znajdując w sobie siły ani ochoty, by oddać strzał. Nie potrafił wykonać wyroku, więc opuścił broń i wrócił do miejsca, gdzie zostawił plecak.

Grzechotnik był w równie pokojowym nastroju, bo płynnym ruchem opuścił głowę na kamień i znieruchomiał.

Travis rozdarł opakowanie ciastek Oreo, jego ulubionego przysmaku z dzieciństwa. Nie jadł ich od piętnastu lat. Smakowały niemal równie dobrze, jak to zapamiętał. Upił z manierki łyk napoju Kool-Aid, jednak w tym wypadku różnica była znacząca. Smak, który rozlał się po podniebieniu dorosłego mężczyzny, był zbyt słodki.

Człowiek jest w stanie przypomnieć sobie młodzieńczą niewinność, pasję, radości i zachłanność, pomyślał, ale nigdy ich w pełni nie odzyska.

Pozostawiając węża na słońcu, Travis zarzucił plecak i schodząc ze zbocza, ruszył na południe na porośnięty drzewami szczyt kanionu, gdzie rośliny zimozielone wypełniały powietrze swym aromatycznym zapachem. Na opadającym ku zachodowi, pograżonym w mroku dnia kanionu skręcił na zachód i podążył szlakiem jeleni.

Kilka minut później, przeszedłszy pod bliźniaczymi jaworami, które chyląc się ku sobie, tworzyły potężny łuk, dotarł do zalanej słońcem polany. Widoczny w jej odległym końcu szlak prowadził do lasu, gdzie potężne świerki, wawrzyny i jawory rosły gęściej niż w jakimkolwiek innym lesie. Nieco dalej teren opadał gwałtownie, tworząc dno kanionu.

Stojąc w słońcu na granicy światła i mroku, Travis spoglądał na biegnącą w dół leśną ścieżkę, która piętnaście metrów dalej ginęła w ciemności.

Gdy zamierzał wejść w mrok i podjąć wędrówkę, zza kępy wyschniętych krzaków po jego prawej stronie wyskoczył pies. Dysząc ciężko, rzucił się ku niemu. Był to golden retriever; rasowy, sądząc po wyglądzie. Samiec. Miał niewiele ponad rok, bo choć osiągnął charakterystyczny dla tej rasy wzrost, w jego zachowaniu wyczuwało się szczenięcą dziarskość. Jego gęsta sierść była wilgotna, poplątana i upstrzona rzepami, liśćmi i kawałkami połamanych gałązek. Zatrzymał się przed Travisem, przekrzywił głowę i utkwiał w nim przyjacielskie spojrzenie.

Choć brudny i zaniedbany, wydawał się uroczy. Travis zatrzymał się, poklepał psa po głowie i podrapał go za uszami. Spodziewał się, że lada chwila zza krzaków wypadnie wściekły, zdyszany właściciel, jednak nic takiego się nie wydarzyło. Kiedy sięgnął do obroży, by sprawdzić numer, okazało się, że zwierzę nie ma obroży.

– Przecież nie jesteś dziki, prawda, piesku?

Retriever parsknął.

– Nie, jesteś zbyt przyjacielski jak na dzikiego psa. Chyba się nie zgubiłeś, co?

Zwierzę trąciło nosem jego dłoń.

Dopiero wówczas zauważył, że oprócz brudnej splątanej sierści na prawym uchu psa widnieje plama zaschniętej krwi. Przednie łapy wciąż nosiły ślady świeżej krwi, jak gdyby zwierzę biegło tak długo i tak wytrwale wśród leśnych chaszczki, że poduszki na łapach zaczęły pękać i krwawić.

– Wygląda na to, że masz za sobą długą podróż.

Retriever zaskomlał cicho, jakby zgadzał się z tym, co przed chwilą usłyszał.

Travis cierpliwie głaskał go po grzbiecie i drapał za uszami, aż uświadomił sobie, że szuka w nim czegoś, czego pies

nie mógł mu dać: jakiegoś sensu, celu i wytchnienia od ciągłej udreki...

– Zmykaj. – Delikatnie klepnął go w bok, wstał i się przeciągnął.

Pies jednak ani drgnął.

Travis ominął go i ruszył w stronę pogrążonej w mroku wąskiej ścieżki.

Pies przemknął obok niego i zagroził wejście na szlak.

– Odsuń się, piesku.

Tym razem retriever obnażył kły i wydał z siebie niski gardłowy pomruk.

Travis ściągnął brwi.

– Odsuń się. Dobry piesek.

Kiedy spróbował ominąć zwierzę, pies warknął i chciał chwycić go za nogi.

Mężczyzna odskoczył dwa kroki w tył.

– Hej, co cię opętało?

Pies przestał warczeć i głośno dyszał.

Kiedy po raz kolejny zrobił krok w kierunku psa, ten rzucił się na niego z jeszcze większą zajadłością niż chwilę temu i choć nie czekał, wydawał z siebie złowrogie pomruki, próbując chwycić Trávisa za nogi i spychając go na drugi koniec polany. Mężczyzna zrobił osiem, dziesięć niezdarnych kroków na śliskiej, zdradliwej wyściółce świerkowych i sosnowych igieł, aż w końcu potknął się o własne nogi i runął na plecy.

Gdy wylądował na ziemi, pies odwrócił się, wrócił na skraj polany i spojrzął w mrok. Jego miękko opadające uszy podniosły się na tyle, na ile było to możliwe.

– Przeklęty pies – warknął Travis.

Zwierzę zignorowało jego słowa.

– Co z tobą, cholerny kundlu?

Pies stał w cieniu, gapiąc się na jeleni szlak i ciemność czającą się u stóp porośniętego drzewami zbocza kanionu. Podkulił ogon, niemal chowając go między tylnymi łapami.

Poirytowany jego zachowaniem Travis zebrał garść kamyków i cisnął jeden z nich w kierunku psa. Pocisk uderzył zwierzę w zad, ale retriever nie zaskomlał. Zamiast tego odwrócił się i spojrzał na niego zaskoczonym wzrokiem.

No to się dograłem, pomyślał Travis. Teraz jak nic rzuci mi się do gardła.

Nic takiego się jednak nie stało. Zwierzę utkwilo w nim oskarżycielskie spojrzenie i dalej blokowało wejście na szlak.

Coś w zachowaniu tego zaniedbanego psa – w jego szeroko rozstawionych ciemnych oczach i sposobie, w jaki pochylał wielki kwadratowy łeb – sprawiło, że Travis poczuł się winny, iż chwilę temu cisnął w niego kamieniem. Żalose stworzenie patrzyło na niego zawiedzionym wzrokiem, budząc w nim uczucie wstydu.

– Hej, posłuchaj – rzucił – sam zacząłeś.

Pies patrzył na niego.

Travis wyrzucił pozostałe kamyki.

Zwierzę zerknęło na porzucone pociski, a gdy podniosło wzrok, Travis mógłby przysiąc, że zobaczył w jego oczach aprobatę.

Mógł zawrócić albo znaleźć inną drogę prowadzącą do kanionu. Nie wiedzieć czemu, czuł jednak irracjonalną potrzebę podążania wcześniej obraną trasą. Na Boga, miał ochotę iść tam, gdzie mu się podobało. Akurat tego dnia nie miał zamiaru dać się zastraszyć ani powstrzymać przez coś równie błahego jak stojący na drodze bezpieczni pies.

Dźwignął się z ziemi, wzruszył ramionami, by poprawić plecak, wciągnął w płuca haust świeżego powietrza i zuchwałym krokiem ruszył w kierunku psa.

Zwierzę wydało z siebie cichy, groźny pomruk i obnażyło kły.

Travis czuł, jak z każdym krokiem opuszcza go odwaga. Stojąc w odległości około metra od zwierzęcia, postanowił zmienić taktykę. Zatrzymał się, pokręcił głową i łagodnie zbeształ psa.

– Niedobry pies. Jesteś bardzo niegrzeczny. Wiesz? Co w ciebie wstąpiło? Hm? Nie wydajesz się zły. Wyglądasz na dobrego pieska.

W miarę jak przemawiał do niego słodkim głosem, retriever przestał warczeć. Raz i drugi niepewnie machnął puszystym ogonem.

– Dobry piesek – ciągnął przebiegle Travis. – Od razu lepiej. Chyba możemy się zaprzyjaźnić, co ty na to?

Pies zaskomlał pojednawczo. Był to znajomy, błagalny dźwięk, którym psy wyrażają naturalną potrzebę miłości.

– To już coś – rzucił Travis, robiąc kolejny krok w kierunku retrievera i wyciągając rękę, by go pogłaskać.

Zwierzę natychmiast obnażyło kły i rzuciło się na niego, sprawiając, że cofnął się na drugi koniec polany. Pies chwycił zębami nogawkę spodni i wściekle potrząsnął głową. Travis próbował go kopnąć, jednak chybił. Kiedy usiłował odzyskać równowagę, retriever złapał drugą nogawkę dzinsów i biegnąc w kółko, pociągnął go za sobą. Travis za wszelką cenę starał się utrzymać na nogach, ale zatoczył się i po raz kolejny runął na ziemię.

– Cholera! – warknął, czując się jak ostatni dureń.

Pies najwyraźniej odzyskał dobry nastrój, bo skomląc cicho, polizał jego rękę.

– Jesteś szurnięty – rzucił mężczyzna.

Zwierzę wróciło na drugi koniec polany. Stało teraz tyłem do Travisa, spoglądając w dół, gdzie wąska ścieżka ginęła w chłodnym cieniu pośród drzew. Nagle pochyliło głowę i znieruchomiało. Mięśnie grzbietu i tylnych łap napięły się, jak gdyby retriever szykował się do skoku.

– Na co się gapisz? – Dopiero teraz Travisowi przyszło do głowy, że psa nie interesował leśny szlak, ale coś, co się na nim znajdowało. – Puma? – zastanawiał się na głos, podnosząc się z ziemi. Gdy był młody, pумы grasowały w licznych lasach, ich obecność nie była więc niczym nadzwyczajnym.

Retriever warknął, tym razem jednak nie na Trávisa, ale na coś, co przykuło jego uwagę. Był to niski, ledwie słyszalny pomruk; zupełnie jakby pies był nie tylko zły, ale też przestraszony.

Kojoty? Na pogórzcu było ich mnóstwo. Stado głodnych kojotów mogło zaniepokoić nawet tak potężnego psa jak golden retriever.

Nagle zwierzę wydało z siebie przeraźliwy skowyt i w kilku niezdamnych susach odskoczyło od zacięnionej ścieżki. Chwilę później rzuciło się w stronę Trávisa, przemknęło obok niego i wpadło między drzewa. Travis pomyślał, że lada chwila pies zniknie w leśnej gęstwinie. Retriever zatrzymał się jednak pod łukowatym sklepieniem, pod którym on sam przechodził nie dalej jak kilka minut temu, i spojrzał na niego wyczekująco. W jego zachowaniu wyczuwało się jakiś niepokój i zniecierpliwienie. Zwierzę raz jeszcze podbiegło do mężczyzny, okrążyło go, chwyciło zębami nogawkę spodni i szarpiać, próbowało odciągnąć go od szlaku.

– Zaczekaj. Już dobrze, zaczekaj – rzucił Travis. – W porządku.

Pies puścił nogawkę i szczechnął.

Najwyraźniej nie miał zamiaru pozwolić Trávisowi na dalszą wędrówkę ponurym szlakiem, na którym czaiło się coś złego. Złego i niebezpiecznego. Chciał, żeby mężczyzna uciekł, ponieważ to coś nieubłagane zmierzało w ich stronę.

Coś nadchodziło od strony ścieżki. Tylko co?

Travis nie czuł strachu, raczej ciekawość. Cokolwiek to było, mogło przerazić psa, ale żadne stworzenie, nawet kojot czy kuguar, nie zaatakuje dorosłego człowieka.

Skomląc niecierpliwie, retriever raz jeszcze chwycił Trávisa za nogawkę spodni.

Zachowywał się irracjonalnie. Skoro był przerażony, dlaczego sam nie uciekł? Travis nie był przecież jego właścicielem; nie musiał okazywać mu sympatii ani go chronić.

Bezpańskie psy nie mają poczucia obowiązku wobec obcych, nie kierują się zasadami moralnymi ani sumieniem. Za kogo miało się to zwierzę? Wolnego strzelca, który bawi się w Lassie?

– Dobrze już, dobrze – mruknął Travis i ruszył za psem w kierunku bliźniaczych jaworów.

Retriever biegł przodem w górę ścieżki prowadzącej na krawędź kanionu, gdzie coraz rzadziej rosnące drzewa nie przesłaniały słońca.

Travis zatrzymał się pod łukowatym sklepieniem z gałęzi drzew i marszcząc czoło, spojrzał na zalaną słońcem polanę i widoczną na jej końcu plamę mroku, w której ginął wydeptany przez zwierzęta szlak. Co czało się w ciemnościach?

Hałaśliwe cykady umilkły nagle, jak gdyby czyjaś niewidzialna ręka podniosła igłę gramofonu. Las pogrążył się w nienaturalnej ciszy. Dopiero wówczas Travis usłyszał, jak coś przedziera się przez pogrążony w mroku szlak. Dźwięk przypominał odgłosy drapania. Stukot spadających kamieni. Łagodny szelest suchych gałęzi. Cokolwiek to było, znajdowało się pewnie dalej, niż sugerowały dźwięki wzmocnione echem w wąskim tunelu drzew. Niemniej stworzenie zbliżało się szybko. Bardzo szybko.

Po raz pierwszy Travis wyczuł, że grozi mu niebezpieczeństwo. Wiedział, że żadne z żyjących tu stworzeń nie było ani wystarczająco duże, ani dość odważne, by zaatakować dorosłego mężczyznę, lecz tym razem instynkt okazał się silniejszy od zdrowego rozsądku. Serce waliło mu jak młotem.

Nieco dalej, na wyższych partiach ścieżki, retriever wyczuł jego wahanie i szczerknął energicznie.

Dziesiątki lat temu mógłby pomyśleć, że na szlaku pojawił się niedźwiedź czarny, a jego agresywne zachowanie spowodowane jest bólem lub chorobą. Jednak okoliczni mieszkańcy i weekendowi turyści – ludzie, którzy choć na

chwilę chcieli uciec od cywilizacji – już dawno przegonili ocalałe niedźwiedzie w głąb gór Santa Ana.

Sądząc po dźwiękach, stworzenie lada chwila dotrze na polanę oddzielającą oba szlaki. Myśl o tym sprawiła, że włosy na karku stanęły mu dęba. Strużki zimnego potu spłynęły mu wzdłuż kręgosłupa niczym lodowaty deszcz ze śniegiem, który późną jesienią dobijał się do okien. Chciał zobaczyć, czym było owo stworzenie, ale ogarnięty lękiem umysł krzyczał, że powinien uciekać.

Stojący na szczycie ścieżki retriever szczechnął ponagląco.

Travis jak gdyby obudził się z letargu, odwrócił się i pobiegł w kierunku psa. Był w doskonałej formie, a na jego ciele próżno było szukać choćby grama zbędnego tłuszczu. Podążając za dyszącym zwierzęciem, przycisnął ramiona do ciała i uchylając się przed wiszącymi nisko gałęziami, pobiegł w górę szlaku. Bieżnikowane podeszwy butów zapewniały idealną przyczepność; kilkakrotnie poślizgnął się na zdradliwych kamieniach i poszyciu z suchych igieł, jednak nie upadł. Mijając kolejne drzewa, które zdawały się płonąć od słońca, poczuł w płucach bolesne pieczenie.

Travis Cornell doświadczył w życiu wielu niebezpieczeństw i tragedii, ale nigdy przed niczym się nie cofał. W najgorszych momentach ze spokojem stawiał czoło stracie, bólowi i lękom. Tym razem zdarzyło się coś dziwnego. Travis Cornell stracił kontrolę. Pierwszy raz w życiu spanikował. Pozwolił, by lęk wtargnął do jego umysłu, sięgając tam, gdzie do tej pory nie dotarły żadne uczucia.

Biegnąc, czuł, jak pokryte gęsią skórą ciało oblewa się zimnym potem, i nie miał pojęcia, dlaczego ścigająca go nieznana istota napawa go tak wielkim przerażeniem.

Nie odwracał się. Z początku patrzył wprost przed siebie, by nie stracić z oczu krętego szlaku i nie wpaść na jedną z niskich gałęzi. Jednak po przebiegnięciu kilkuset metrów ogarnięty paniką umysł nie pozwalał mu nawet na chwilę

odwrócić wzroku w obawie przed tym, co mógłby zobaczyć.

Wiedział, że jego reakcja była irracjonalna. Mrowienie na karku i rozlewający się po ciele lodowaty chłód nie były niczym innym jak objawami nienazwanego, zabobonnego strachu. Cywilizowany, wykształcony Travis Cornell przekazał pałeczkę przerażonemu dzieciakowi, który żyje w każdym z nas – genetycznemu wspomnieniu o tym, kim kiedyś byliśmy – i nie był w stanie odzyskać kontroli nad własnym ciałem i umysłem, chociaż wiedział, jak niedorzeczne jest jego zachowanie. Zawładnął nim zwierzęcy instynkt, który podpowiadał mu, że musi biec, że powinien przestać myśleć i gnać przed siebie ile sił w nogach. Nieopodal szczytu szlak skręcał w lewo i niczym wijący się wąż biegł dalej północną ścianą w kierunku grzbietu kanionu. Tuż za zakrętem Travis dostrzegł leżącą na ścieżce gnijącą kłodę. Próbował ją przeskoczyć, ale zahaczył stopą o murszejące drzewo i runął twarzą na ziemię. Oszołomiony nie był w stanie złapać oddechu ani się poruszyć.

Oczekiwał, że lada chwila coś rzuci się na niego i rozpląta mu gardło.

Zaalarmowany hałasem pies zawrócił ze ścieżki i kilka susami pokonawszy dzielącą ich odległość, stanął obok Trávisa. Szczekanie, którym próbował odstraszyć ścigające ich stworzenie, było znacznie bardziej zajadłe niż to, którym próbował odwieść Trávisa od zamiaru wejścia na szlak.

Mężczyzna obrócił się na plecy i dysząc, usiadł na ziemi. Spojrzał na widoczną w dole ścieżkę, jednak ta zdawała się pusta. Dopiero po chwili dotarło do niego, że retriever wcale nie patrzy w tamtą stronę. Zwierzę stało nieco z boku, spoglądając na wschód i widoczne trochę dalej gęste zarośla. Pyskając naokoło śliną, ujadło tak wściekle i głośno, że siła dźwięku raniła uszy Trávisa. Najwyraźniej chciało ostrzec niewidzialnego wroga, by trzymał się z daleka.

– Spokojnie, piesku – uspokajał go Travis. – Spokojnie.

Retriever przestał szczekać, ale nie spojrzął na mężczyznę. Jego wzrok utkwiony był w zaroślach, a zza obnażonych kłów dochodził niski, złowieszczy pomruk.

Oddychając z trudem, Travis dźwignął się na nogi i spojrzął na wschód w stronę lasu. Dobrze znał ten widok: drzewa zimozielone, sykomora i kilka modrzewi. Widoczne tu i ówdzie plamy cienia przywodziły na myśl skrawki czarnego materiału przybitego do ziemi świetlistymi szpilkami światła. Zarośla. Głóg. Pnącza. Kilka zwietrzałych skał wyrastających z ziemi niczym gigantyczne zęby. Nic niezwykłego.

Kiedy wyciągnął rękę i położył ją na głowie psa, zwierzę przestało warczeć, jak gdyby zrozumiało jego intencje. Travis wstrzymał oddech i wsłuchał się w odgłosy lasu. Cykady wciąż milczały. Wśród drzew nie było słyhać śpiewu ptaków. Las pograżył się w ciszy, jakby ogromny, skomplikowany mechanizm wszechświata nagle się zatrzymał. Travis był pewien, że to nie on był przyczyną tej nagłej ciszy. Wielokrotnie przechodził przez kanion, jednak nigdy wcześniej jego obecność nie niepokoiła ani ptaków, ani cykad.

Coś czaiło się pośród drzew. Intruz, którego zwykli mieszkańcy lasu najwyraźniej nie tolerowali.

Wziął głęboki oddech i jeszcze raz wstrzymał powietrze, starając się wychwycić choćby najdrobniejszy szmer. Tym razem usłyszał w zaroślach delikatnych ruch, trzask złamanej gałązki, szelest liści i osobliwy, ciężki, urywany oddech czegoś dużego. Dźwięk dobiegał z odległości mniej więcej dwunastu metrów, lecz Travis nie był w stanie określić, gdzie dokładnie znajdował się ich prześladowca.

Stojący obok pies zeszytywniał. Podniósł nieznacznie uszy i przekrzywił głowę, jakby i on nasłuchiwał.

Chrapliwy oddech niewidzialnego stworzenia wydawał się tak przerażający – bez względu na to, czy był spotęgowany przez echo, czy też nie – że Travis pospiesznie zdjął plecak i wyciągnął naładowaną trzydziestkęosmkę.

Pies spojrział na broń i Travis odniósł dziwne wrażenie, że zwierzę wiedziało, czym jest rewolwer, i pochwalało pomysły, by go wykorzystać.

Zastanawiając się, czy czyhające w lesie stworzenie było człowiekiem, Travis zawołał:

– Kto tam? Wyjdź tak, żebym mógł cię zobaczyć.

Schrypnięty oddech przypominał teraz groźne warczenie. Upiorny, gardłowy dźwięk zelektryzował mężczyznę. Serce waliło mu jak oszalałe, a ciało miał równie sztywnie jak stojący obok pies. Przez kilka sekund, które wydały mu się wiecznością, nie mógł pojąć, jak to możliwe, że czyjś oddech budził w nim tak potężny, paraliżujący strach. Dopiero po chwili uświadomił sobie, że tym, co tak naprawdę go przerażało, była dziwna dwuznaczność odgłosów: warczenie z całą pewnością wydawało zwierzę... jednak było w nim coś, co świadczyło o niewątpliwej inteligencji prześladowcy. Ton i modulacja głosu przywodziły na myśl rozwścieczonego człowieka. Im uważniej się przysłuchiwał, tym większego nabierał przekonania, że nie były to odgłosy ani zwierzęcia, ani człowieka. W takim razie czyje? Z czym, do diabła, przyjdzie mu się zmierzyć?

Coś poruszyło się w zaroślach. Coś szło w ich stronę.

– Zatrzymaj się! – krzyknął schrypniętym głosem. – Ani kroku dalej!

Przeciwnik zignorował jego ostrzeżenie.

Dzieliło go od nich zaledwie dziewięć metrów.

Poruszał się nieco wolniej i bardziej ostrożnie, lecz z każdą chwilą był coraz bliżej.

W gardle retrievera rozbrzmiał dobrze znany Travisowi niski, gardłowy pomruk, który miał odstraszyć ich prześladowcę, ale boki i głowa zwierzęcia drżały. Mimo że pies szykował się do ataku, najwyraźniej bał się konfrontacji z nieznanym.

Jego strach wytrącał Trávisa z równowagi. Golden retrievery słynęły ze śmiałości i odwagi. Doskonale nadawały się

na towarzyszy myśliwych i często brały udział w niebezpiecznych akcjach ratunkowych. Co lub kto mógł wywołać strach u tak dumnego zwierzęcia?

Ich prześladowca nawet na chwilę nie zwolnił kroku, a odległość między nimi zmalała do marnych sześciu metrów.

Choć do tej pory Travis nie zauważył niczego niezwykłego, czuł nienazwany, paraliżujący strach i miał wrażenie, że gdzieś w pobliżu czai się coś dziwnego. Wciąż jednak powtarzał sobie, że oto przypadkiem natknął się na kugurara, a zwierzę jest pewnie bardziej przerażone niż on sam. Tymczasem dziwne mrowienie, które promieniowało z odcinka lędźwiowego wprost do jego głowy, przybrało na sile. Dłoń Travisa była tak mokra od potu, że obawiał się, iż lada chwila wypuści broń.

Pięć metrów.

Travis wycelował trzydziestkęsemkę w powietrze i oddał strzał ostrzegawczy. Potężny huk odbił się echem od ścian kanionu.

Retriever nawet nie drgnął, jednak ukrywający się w zaroślach intruz natychmiast zawrócił i pobiegł na północ w stronę krawędzi kanionu. Travis nie był w stanie go zobaczyć, ale wysokie do pasa trawy i krzaki zakołysały się i rozstały pod ciężarem uciekiniera.

Na sekundę lub dwie odetchnął z ulgą przekonany, że wystrzał odstraszył ich prześladowcę. Dopiero po chwili zrozumiał, że napastnik wcale nie uciekł. Zamiast tego skierował się na północny zachód ku wyższym partiom wydeptanej przez jelenie leśnej ścieżki. Travis wyczuwał, że stworzenie stara się odciąć im drogę ucieczki i zepchnąć ich w kierunku niższego szlaku, który dawał mu więcej okazji do niespodziewanego ataku. Nie miał pojęcia, skąd to wie; po prostu wiedział.

Pierwotny instynkt samozachowawczy kazał mu działać bez zastanowienia się nad każdym kolejnym krokiem; więc

Travis automatycznie robił to, czego wymagała od niego sytuacja. Nie czuł tej zwierzęcej pewności, odkąd prawie dziesięć lat temu brał udział w operacji wojskowej.

Starając się nie odrywać wzroku od falujących po jego prawej ręce zarośli, zrzucił plecak i ściskając broń, pognął w górę stromego zbocza. Pies rzucił się w ślad za nim. Niezależnie od tego, jak był szybki, nie zdołał prześcignąć swego przeciwnika. Kiedy dotarło do niego, że stworzenie – czymkolwiek było – kieruje się ku widocznej nad jego głową ścieżce, oddał kolejny strzał ostrzegawczy, który tym razem nie zrobił na ich prześladowcy większego wrażenia. Chwilę później wystrzelił jeszcze dwa razy w kierunku zarośli, gdzie – jak mu się zdawało – widział jakiś ruch. Nie dbał o to, czy zająca się w lesie istota jest człowiekiem.

Tym razem strzały zrobiły swoje. Travis wprawdzie nie liczył na to, że trafił przeciwnika, jednak z całą pewnością solidnie go wystraszył, bo tamten zawrócił.

On tymczasem biegł dalej. Chciał jak najszybciej dotrzeć do krawędzi kanionu, gdzie pośród zalanych słońcem nielicznych drzew i skąpej roślinności nie było miejsca na żadne kryjówki.

Kiedy kilka minut później dotarł na grzbiet, był zdyszany i zmęczony. Mięśnie łydek i ud przeszywał palący ból. Oszałamiałe serce tak mocno tłukło się w jego piersi, że nie zdziwiłby się, słysząc, jak dudnienie to odbija się echem od ścian kanionu.

Właśnie w tym miejscu zatrzymał się wcześniej, żeby zjeść ciastka. Grzechotnik, który wylegiwał się na słońcu, dawno już zniknął.

Golden retriever szedł za nim niemal krok w krok. Kiedy Travis przystanął, pies również się zatrzymał i dysząc, spojrział w dół zbocza.

Oszołomiony Travis miał ochotę usiąść i odpocząć, jednak świadomy niebezpieczeństwa zerknął na szlak i przebiegł wzrokiem po okolicznych zaroślach. Jeśli ich prześladowca

czaił się gdzieś w pobliżu, był teraz bardziej ostrożny i poruszał się tak, by nie zwracać na siebie niczyjej uwagi.

Nagle pies zaskomlał i szarpnął Trávisa za nogawkę spodni. Zaraz potem pognał brzegiem wąskiego wzniesienia ku pochyłości, dzięki której mogli przejść do kolejnego kanionu. Najwyraźniej uważał, że wciąż nie byli bezpieczni i nie powinni się zatrzymywać.

Travis był tego samego zdania. Jego atawistyczny lęk i zaufanie do własnego instynktu kazały mu pobiec za psem na przeciwległy kraniec wzniesienia, a chwilę później zniknąć w następnym porośniętym drzewami kanionie.

2

VINCENT NASCO GODZINAMI CZEKAŁ w ciemnym garażu. Nie wyglądał na kogoś, kto lubił czekać. Był potężnym mężczyzną – ważył przeszło dziewięćdziesiąt kilogramów, miał metr dziewięćdziesiąt wzrostu i muskularne ciało. Wydawało się, że energia rozsadza go od środka. Jego szeroka twarz była łagodna i zazwyczaj pozbawiona wyrazu, jak krowi pysk. Zielone oczy Vincenta były czujne i pełne życia. Kryła się w nich nerwowa czujność i dziwny głód, który można było dostrzec w oczach dzikiego zwierzęcia, ale nigdy w oczach człowieka. Mimo rozpierającej go energii Vincent Nasco był cierpliwy niczym dziki kot. Czekając na zwierzynę, mógł się w ukryciu czaić godzinami; nieruchomy i cichy.

O dziewiątej czterdzieści we wtorkowy ranek – dużo później, niż spodziewał się Nasco – wpuszczany zamek w drzwiach oddzielających garaż od pozostałej części domu otworzył się z pojedynczym, metalicznym kliknięciem. W otwartych drzwiach stanął doktor Davis Weatherby, zapalił światło i wyciągnął rękę, by nacisnąć przycisk, który podniesie bramę garażu.

– Ani kroku dalej – rzucił Nasco, wstając i podchodząc do perłowoszarego cadillaca.

Zaskoczony Weatherby zamrugął gwałtownie.

– Kim, do cholery...

Nasco podniósł wyposażonego w tłumik walthera P-38 i strzelił mężczyźnie prosto w twarz.

Trzask.

Nie dokończywszy zdania, Weatherby runął w pralni na podłogę w radosnych, żółto-białych barwach. Upadając, uderzył głową o suszarkę, sprawiając, że zaopatrzone w kółka metalowy kosz na pranie wpadł z hukiem na ścianę.

Vince Nasco nie przejął się hałasem. Weatherby nie był przecież żonaty i mieszkał zupełnie sam. Pochylił się nad ciałem, które zaklinowało drzwi, i położył dłoń na twarzy lekarza.

Kula trafiła Weatherby'ego w czoło, około dwóch centymetrów od grzbietu nosa. Krwi było mało, ponieważ śmierć nastąpiła natychmiast, a pocisk nie był wystarczająco silny, by przebić na wylot czaszkę ofiary. Weatherby miał wciąż szeroko otwarte brązowe oczy. Wydawał się zaskoczony.

Vince musnął palcami ciepły jeszcze policzek i szyję ofiary. Zamknął nieruchome lewe oko, a zaraz po nim prawe. Zrobił to, choć wiedział, że pośmiertne skurcze mięśni za kilka minut otworzą je z powrotem. Z pobrzmiewającą w drżącym głosie głęboką wdzięcznością zwrócił się do Weatherby'ego:

– Dziękuję. Dziękuję, doktorze. – Pocałował zamknięte powieki mężczyzny. – Dziękuję.

Drżąc z podniecenia, Vince podniósł z podłogi kluczyki do samochodu, wrócił do garażu i otworzył bagażnik cadillaca, uważając, by nie dotknąć żadnego miejsca, na którym mógłby zostawić wyraźne odciski palców. Bagażnik był pusty. Dobrze. Wyniósł z pralni ciało Weatherby'ego, włożył je do bagażnika i zatrasnął pokrywę.

Powiedziano mu, że ciało lekarza nie może zostać odnalezione aż do następnego dnia. Vince nie miał pojęcia, dlaczego było to takie ważne, jednak szczycił się tym, że pracował bez zarzutu. Dlatego wrócił do pralni, odstawił na miejsce metalowy kosz i rozejrzał się dookoła, szukając jakichkolwiek śladów przemocy. Zadowolony włożył do zamka klucz Weatherby'ego i zamknął żółto-białe pomieszczenie.

Wyłączył światła w garażu i wyszedł bocznymi drzwiami, którymi w nocy dostał się do środka, otwierając kiepski zamek kartą kredytową. Używając kluczy ofiary, ponownie zamknął drzwi i opuścił dom.

Davis Weatherby mieszkał w Corona Del Mar, w domu z widokiem na Ocean Spokojny. Vince zaparkował dwuletniego forda vana trzy przecznice od domu lekarza. Droga powrotna do samochodu była niezwykle przyjemna i orzeźwiająca. Ładna okolica mogła się pochwalić bogactwem stylów architektonicznych. Drogie hiszpańskie *casas* sąsiadowały z pięknie wykończonymi domami w stylu Cape Cod, tworząc idealną harmonię, w którą mógł uwierzyć jedynie ten, kto zobaczył ją na własne oczy. Roślinność była bujna i zadbana. Palmy, fikusy i drzewa oliwne rzucały cień na chodniki. Czerwone, koralowe, żółte i pomarańczowe bugenwille płonęły tysiącami kwiatów. Wszędzie dookoła kwitły kalistemony. Gałęzie jakarandy ugięły się pod ciężarem koronkowych fioletowych kwiatów. Powietrze pachniało jaśminem.

Vincent Nasco czuł się wspaniale. Był tak silny, potężny i pełen życia.

3

PROWADZILI NA ZMIANĘ, RAZ pies, innym razem Travis. Przebyli długą drogę, zanim dotarło do niego, że zapomniał o rozpacz i samotności, które przywiodły go do podnóża gór Santa Ana.

Wielki zaniedbany retriever towarzyszył mu przez całą drogę aż do pick-upa zaparkowanego na wąskiej drodze gruntowej pod ciężkimi gałęziami ogromnego świerku. Zatrzymawszy się przy samochodzie, zwierzę raz jeszcze obejrzało się za siebie.

Nad ich głowami stado czarnych ptaków przecięło bezchmurne niebo niczym skrzydlaci zwiadowcy w służbie górskiego czarodzieja. Widoczna nieco dalej ciemna ściana drzew przywodziła na myśl mury obronne złowieszczego zamku.

Mimo że w lasach panował półmrok, ścieżka, na którą wyszli, tonęła w słońcu, a znad spieczonej brązowawej ziemi unosiły się kłęby kurzu, z każdym krokiem osiadające na butach Travisa. Zaskoczyła go myśl, że tak piękny, słoneczny dzień mógł zostać zdominowany przez poczucie przytłaczającego, niemal namacalnego zła.

Spoglądając na las, z którego chwilę temu uciekli, pies zaszczekał po raz pierwszy od pół godziny.

– Wciąż tu jest, co? – spytał Travis.

Pies spojrział na niego i zaskomlał żałośnie.

– Tak – ciągnął mężczyzna. – Też to czuję. To głupie... ale naprawdę coś wyczuwam. Tylko co to jest, piesku? Hm? Co to, do cholery, jest?

Ciałem psa wstrząsnął nagły dreszcz.

Niepokój Travisa rósł za każdym razem, gdy widział, jak bardzo przerażony jest jego towarzysz.

Opuścił tylną klapę i rzucił:

– Wskakuj. Wywiozę cię z tego miejsca.

Pies bez namysłu wskoczył do furgonetki.

Travis zatrzasnął klapę i obszedł samochód. Otwierając drzwi kierowcy, miał wrażenie, że coś poruszyło się w pobliskich krzakach. Nie w lesie, ale na końcu drogi. W miejscu, gdzie wąskie poletko dusiło się pod naporem wysokiej do pasa, wyschniętej brązowej trawy, kilku szczeciniastych kęp jadaloszyńcu i ciągnących się po horyzont oleandrów

z korzeniami wystarczająco długimi, by zapewnić roślinom dostęp do wody. Kiedy spoglądał na zarośnięty skrawek ziemi, nie wychwycił żadnego ruchu, jednak był niemal pewien, że to, co zobaczył chwilę wcześniej, nie było wytworem wyobraźni.

Czując nagłą potrzebę, by jak najszybciej opuścić to miejsce, wsiadł do samochodu i położył broń na siedzeniu pasażera. Odjechał tak szybko, jak pozwalała na to wąska dróżka, pamiętając o zamkniętym z tyłu samochodu czworonożnym pasażerze.

Dwadzieścia minut później, kiedy zatrzymał się przy Santiago Canyon Road, w świecie asfaltowych dróg i cywilizacji, czuł się słaby i zmęczony. Strach, który czuł teraz, różnił się od tego odczuwanego w lesie. Serce się uspokoiło. Dłonie i czoło, jeszcze do niedawna mokre od potu, były teraz suche. Uczucie mrowienia na karku i głowie zniknęło, a wspomnienie o nim zdawało się nierzeczywiste. Teraz nie obawiał się czyhającego w lesie stworzenia, ale przerażało go jego własne dziwne zachowanie. Nie był w stanie przypomnieć sobie potwornego lęku, który nim zawładnął, dlatego wszystko, co robił, wydało mu się irracjonalne.

Zaciągnął hamulec i wyłączył silnik. Była jedenasta i poranny ruch na drogach zdążył już osłabnąć; tylko od czasu do czasu jakiś samochód przejechał dwupasmową asfaltówką. Travis siedział przez minutę, próbując przekonać samego siebie, że zaufał instynktom, które były dobre, właściwe i niezawodne.

Do tej pory niezachwiany spokój i pragmatyzm były dla niego powodem do dumy. Travis potrafił zachować zimną krew nawet w środku pożaru. Umiał pod presją podejmować trudne decyzje i bez zmrużenia oka ponosił ich konsekwencje.

Z jednym wyjątkiem. Wciąż nie mógł uwierzyć, że w lesie czaiło się coś dziwnego. Zastanawiał się, czy nie zinterpretował błędnie zachowania psa, a rzekome poruszenie

w zaroślach nie było wytworem wyobraźni, mającym odwrócić jego uwagę od użalania się nad sobą.

W końcu wysiadł z samochodu i podszedł do bagażnika, gdzie czekał na niego golden retriever. Pies wyciągnął ku niemu potężną głowę i polizał go po szyi i brodzie. Mimo że wcześniej szczyrzył kły i szczekał, był uroczym zwierzęciem, a jego brudne, pozlepiane futro nagle wydało się Travisowi zabawne. Przez chwilę próbował odsunąć psa, ale ten wyrwał się do przodu i wdrapywał na klapę, by polizać go po twarzy. Travis wybuchnął śmiechem i zmierzwił splątaną sierść.

Rozbrykanie retrievera i radosne machanie ogonem miały na Trávisa zaskakujący wpływ. Od dłuższego czasu umysł mężczyzny był mrocznym miejscem pełnym przygnębiających myśli o śmierci. Niekłamana radość istnienia, jaką okazywało zwierzę, była jednak niczym reflektor, który rozproszył mrok umysłu Trávisa i przypomniał mu, że życie ma również jaśniejszą stronę, o której on sam dawno już zapomniał.

– O co tak naprawdę chodziło? – zastanawiał się na głos.

Pies przestał lizać go po twarzy i wymachiwać splątanym ogonem. Spojrzał na Trávisa z powagą, wbijając w niego spojrzenie łagodnych brązowych oczu. Było w nich coś niezwykłego, coś fascynującego. Travis poczuł się jak zahipnotyzowany. Pies również patrzył na niego jak urzeczoną. Czując na twarzy łagodny powiew wiosennej, południowej bryzy, Travis spojrział w oczy zwierzęcia, szukając w nich owej niezwykłej, magnetyzującej siły, ale nie było w nich niczego nadzwyczajnego. Chociaż... wydawały się bardziej ekspresyjne niż oczy przeciętnego psa; bardziej inteligentne i świadome. Biorąc pod uwagę czas koncentracji jakiegokolwiek innego czworonoga, uporczywe spojrzenie retrievera było cholernie niezwykle. Mijały kolejne sekundy, a żaden z nich nie przerywał kontaktu wzrokowego. Travis poczuł się nieswojo. Przebiegł go

dreszcz; nie był to jednak dreszcz przerażenia. Wywołało go przeczcucie, że oto jest świadkiem czegoś niesamowitego i że stanął właśnie na progu jakiegoś wielkiego odkrycia.

Nagle pies potrząsnął głową i polizał dłoń Trávisa. Czar przysł.

– Skąd się wzięłeś?

Pies przekrzywił głowę w lewo.

– Kto jest twoim właścicielem?

Pies przekrzywił głowę w prawo.

– Co mam z tobą zrobić?

W odpowiedzi retriever zeskoczył ze skrzyni ładunkowej, minął Trávisa, podbiegł do drzwi kierowcy i wskoczył do kabiny.

Kiedy Travis zajrzał do środka, pies siedział na miejscu pasażera i patrzył przez przednią szybę. Potem spojrział na mężczyznę i szczerknął cicho, jak gdyby dość już miał tego ociągania się.

Siadając za kierownicą, Travis schował broń pod swoim fotelem.

– Chyba nie myślisz, że się tobą zajmę, kolego. Jak dla mnie to za duża odpowiedzialność. Kolidujesz z moimi planami. Przykro mi.

Zwierzę spojrzało na niego błagalnym wzrokiem.

– Wyglądasz na głodnego.

Jedno ciche szczerknięcie.

– W porządku, tyle mogę dla ciebie zrobić. W schowku na rękawiczki powinien być batonik Hershey... a niedaleko stąd jest McDonald. Znając życie, sprzedają tam hamburgery z twoim imieniem. Ale później... Cóż, będę musiał puścić cię wolno albo zawieźć do schroniska.

Wciąż przemawiał do psa, gdy ten uderzył łapą uchwyt schowka, bez trudu otwierając kryjówkę.

– Co do...

Zwierzę pochyliło się do przodu, wetknęło pysk do wnętrza schowka i zębami wyciągnęło obiecany przysmak.

Zrobiło to tak delikatnie, że opakowanie batonika pozostało nietknięte.

Zdumiony Travis zamrugał z niedowierzaniem.

Tymczasem retriever odwrócił łeb w jego stronę, jak gdyby prosił, żeby mężczyzna rozpakował smakołyk.

Oniemiały z wrażenia Travis wyciągnął batonik z psiego pyska i delikatnie rozerwał papierek.

Zwierzę spojrzało na niego i się oblizało.

Przełamawszy batonik, Travis wyciągał w kierunku psa kolejne kawałki czekolady. Ten przyjmował je z wdzięcznością, delikatnie chwytając w zęby porcje przysmaku.

Travis przyglądał się mu ze zdumieniem, nie wiedząc, czy to, co się wydarzyło, było czymś naprawdę niezwykłym, czy może istniało jakieś racjonalne wytłumaczenie. Czy pies faktycznie zrozumiał, gdy powiedział, że w schowku na rękawiczki jest batonik? A może po prostu wyczuł zapach czekolady? Na pewno to drugie.

– Ale skąd wiedziałeś, że trzeba nacisnąć przycisk, żeby otworzyć schowek? – zwrócił się do psa.

Zwierzę spojrzało na niego, oblizało się i przyjęło kolejny kawałek czekoladowego batona.

– No dobra, może to sztuczka, której ktoś cię nauczył. Chociaż ludzie zazwyczaj nie uczą psów czegoś takiego, co? Turlanie się, udawanie trupa, proszenie o kolację, a nawet chodzenie na tylnych łapach... zwykle tego uczy się psy... nie otwierania zamków i zasuvek.

Retriever tęsknym wzrokiem spoglądał na ostatni kawałek czekolady, jednak Travis nie zamierzał się spieszyć.

Wyczucie czasu było wręcz niesamowite. Dwie sekundy po tym, jak napomknął o czekoladzie, pies otworzył schowek.

– Zrozumiałeś, co powiedziałem? – spytał. Czuł się jak wariat, podejrzewając, że pies może mieć zdolności językowe. Mimo to powtórzył pytanie. – Naprawdę? Zrozumiałeś mnie?

Pies niechętnie oderwał wzrok od resztki batonika. Ich oczy się spotkały i Travis po raz kolejny odniósł wrażenie, że jest świadkiem czegoś niezwykłego; zadrżał, ale tym razem był to przyjemny dreszcz.

Zawahał się i odchrząknął.

– Nie będziesz miał nic przeciwko temu, jeśli zjem ostatni kawałek?

Pies spojrzał na dwa czekoladowe kwadraciki, które Travis trzymał w otwartej dłoni. Zaraz potem parsknął, jakby miał do niego żal, i wyrzwał przez szybę.

– A niech mnie – rzucił Travis.

Pies ziewnął.

Ostrożnie, by nie poruszyć dłonią, nie wyciągając ręki i nie robiąc niczego, co mogłoby przyciągnąć uwagę zwierzęcia, Travis zwrócił się do niego:

– Cóż, może potrzebujesz go bardziej ode mnie. Jeśli chcesz, możesz go zjeść.

Pies spojrzał na niego.

Wciąż trzymając rękę przy sobie, jak gdyby nie miał ochoty dzielić się przysmakiem, Travis ciągnął:

– Zjedz, jeśli masz ochotę. W przeciwnym razie będę musiał go wyrzucić.

Retriever przez chwilę wiercił się na siedzeniu, aż w końcu nachylił się w stronę mężczyzny i delikatnie wyjął z jego dłoni kawałek czekolady.

– A niech mnie – powtórzył Travis.

Pies dźwignął się z fotela. Stojąc, sięgał głową niemal do sufitu. Popatrzył przez tylną szybę i zawarczał cicho.

Travis zerknął we wsteczne lusterko, potem w boczne, jednak nie zauważył niczego niezwykłego. Ot, dwupasmowa asfaltówka, wąskie pobocze, a po prawej stronie porośnięty zielskiem stromy stok.

– Myślisz, że powinniśmy się zbierać? O to chodzi?

Zwierzę odpowiedziało spojrzeniem, jeszcze raz obejrzało się za siebie, aż w końcu odwróciło się, usiadło na fotelu

pasażera, z gracją podwijając tylne łapy i wyglądając przez przednią szybę.

Travis uruchomił silnik, wrzucił bieg i wyjechał na Santiago Canyon Road, kierując się na północ.

– Naprawdę jesteś czymś więcej niż tylko zwykłym psem? – spytał, zerkając na swego towarzysza. – A może zaczynam fiksować? Jeśli faktycznie jesteś czymś więcej... to czym, do cholery?

Na wschodnim końcu Chapman Avenue skręcił na zachód w stronę McDonalda.

– Teraz nie mogę cię wypuścić ani zawieźć do schroniska – wyjaśnił. – Gdybym cię nie zatrzymał, umarłbym z ciekawości.

Przejechali jeszcze trzy kilometry, zanim w końcu skręcili na parking przed McDonaldem.

– Cóż, w takim razie można chyba uznać, że jesteś moim psem.

Retriever nie odpowiedział.

Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- swiatksiazki.pl
- empik.com
- bonito.pl
- taniaksiążka.pl

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również w formie **e-booków**.
Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- [Virtualo](#)
- [Publio](#)
- [Nexto](#)

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.

Szukajcie ich na portalu [Audioteka](#) lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarni i na stronę wydawnictwoalbatros.com, gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na [Facebooku](#) i na [Instagramie](#).